

## W Kanadzie zabili mi dziecko

Agnieszka Krupak

Nov 9, 2007



Robert z matką w Gliwicach

Od dwóch tygodni sprawa śmierci Roberta Dziekańskiego nie schodzi z łamów kanadyjskich gazet. Wokół tragedii, która rozegrała się nad ranem 14 października na lotnisku w Vancouver wciąż jest wiele kontrowersji. Największą z nich jest różnica w opisie zdarzeń przedstawianych przez Królewską Kanadyjską Policję Konną i naocznych świadków zdarzenia. Dziś wiadomo już, że istnieje materialny dowód mogący potwierdzić prawdziwość zeznań jednej bądź drugiej strony. Dowód, który spowodował, że kolejny Kanadyjczyk złożył pozew przeciwko RCMP.



### Śmiercionośne impulsy

"Globe and Mail" z 26 października 2007: 18 przypadków śmierci spowodowanej użyciem paralizatora daje jasną odpowiedź na pytanie, czy te urządzenia są bezpieczne. Jeśli ktoś umiera chwilę po tym, jak został porażony prądem, oczywiste jest, że zabiło go to urządzenie. Jednak niektórzy lekarze i patolodzy twierdzą, że zatrzymanie akcji serca po użyciu paralizatora powinno natąpić niezwłocznie, a nie po upływie kilku minut, czy nawet godzin, jak to miało miejsce w przypadku niektórych ofiar. "Jeśli śmierć następuje później niż w przeciągu dwóch sekund od porażenia, to nie spowodował jej impuls elektryczny" - twierdzi David Evans, koroner z Ontario.

Dwa podobne wypadki w krótkim odstępie czasu wydarzyły się w Quebecu. 18 września policja w Quebec City użyła paralizatora elektrycznego do obezwładnienia Claudio Castagnetty, włoskiego emigranta, który zmarł dwa dni później -

zdaniem biegłych, od ran, jakie sam zadał sobie w głowę. Powodem interwencji policyjnej w przypadku 32-latką było jego pojawienie się w osiedlowym sklepie... bez butów. Zdaniem świadków, mężczyzna wyglądał na zdezorientowanego i odmówił opuszczenia sklepu. Z tego powodu został kilkakrotnie porażony paralizatorem. Jego najbliżsi utrzymują, że mężczyzna nigdy nie zażywał żadnych środków odurzających i nie cierpiał na zaburzenia psychiczne. Jednak jego prawnik oświadczył, że Castagnetta miał zaburzenia maniakalno-depresyjne.

Kolejny przypadek śmierci po użyciu paralizatora wydarzył się również w Quebecu. Trzy dni po śmierci Roberta Dziekańskiego policja montrealaska zatrzymała kierowcę, który spowodował stłuczkę. Podczas próby wylegitymowania, mężczyzna wyglądał na odurzonego narkotykami lub nietrzeźwego. Zdaniem funkcjonariuszy, 39-letni Quilem Registre zachowywał się agresywnie. Zmarł po użyciu policyjnych paralizatorów. Sekcja zwłok wykazała w jego organizmie obecność kokainy.

Zdaniem przedstawicieli policyjnych oddziałów specjalnych, użycie paralizatora może skutkować zgonem w przypadku osób pijanych, odurzonych narkotykami lub chorych psychicznie. Opinie specjalistów są podzielone, ale z całą pewnością żadna z tych teorii nie dotyczy Roberta.

Sekcja zwłok wykazała, że 40-letni Polak był człowiekiem zdrowym, a w jego organizmie nie znaleziono żadnych substancji chemicznych, alkoholu czy narkotyków. Oczekiwane są wyniki testów toksykologicznych.

- Robert Dziekański przybył do Kanady ze statusem "landed immigrant". By móc go uzyskać, musiał przejść szereg badań i testów, które potwierdziły jego dobry stan zdrowia - mówi Walter Kosteckij, prawnik Zofii Cisowski, matki Roberta. Sposób działania tych śmiertelnych urządzeń jest prosty. Prąd o sile 50.000 wolt podnosi ciśnienie krwi i zwiększa ilość skurczy serca. Zdaniem niektórych lekarzy może on być przyczyną zatrzymania akcji serca. Nowoczesne paralizatory, zwane taserami, wyposażone są w dwa druciki, na końcach których umieszczone są elektrody. W momencie "wystrzału" wyrzucane są w kierunku ofiary, tworząc z jej ciałem obwód zamknięty. Na końcach elektrod znajdują się metalowe kolce, które z łatwością przebijają się przez ubranie. Impuls elektryczny dociera do komórek nerwowych, a za ich pośrednictwem do mięśni, powodując ich paraliż. Człowiek traci wtedy kontrolę nad swoim ciałem. Jak wynika z czarnej statystyki - może stracić też życie.

#### Arytmetyka śmierci

Robert czekał siedem lat aż jego matka osiągnie roczny dochód w kwocie \$30,000. Był to warunek, by mogła sprowadzić syna do Kanady. Latem zeszłego roku rozpoczęła procedurę imigracyjną.

- Przyleciałam w maju do Polski, do syna, powiedziałam mu - synku, składam już dokumenty o twój pobyt - mówi łamiącym się głosem Zofia Cisowski. Wtedy, w maju ostatni raz widziałam go żywego. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że to były moje ostatnie szczęśliwe chwile w życiu.

W sobotę, 13 października ok. 3.00 czasu polskiego Robert opuścił Gliwice i pojechał na katowickie lotnisko. Z Katowic miał samolot do Frankfurtu. We Frankfurcie czekał ponad cztery godziny na połączenie do Vancouver.

Samolot, który miał wylądować w Vancouver o 13.40 w sobotę, spóźnił się półtorej godziny. Około 15:00 Robert przeszedł bez problemu przez urząd celny i imigracyjny, wiadomo też, że odebrał swój bagaż i załadował go na wózek. Co działo się potem, jest obecnie przedmiotem śledztwa. Zofia Cisowski w tym czasie znajdowała się tylko 40 metrów od syna, usiłując przekonać pracowników lotniska, żeby wpuścili ją do strefy imigracyjnej, by mogła go odszukać. Oboje byli rozdzieleni przeszkloną ścianą. Kobieta błagała urzędników o interwencję, ale bezskutecznie. W tym czasie Robert, samotny, zagubiony, bez pieniędzy, wody i znajomości angielskiego prosił ludzi o pomoc.

- Niewiarygodne jest to, że matka i syn byli przez pół dnia tak blisko siebie, a nikt z obsługi lotniska nie pomógł jej chociażby w tym, by mogła przekazać jakkolwiek wiadomość synowi. I że nikt z pracowników "po drugiej stronie szyby" nie był w stanie porozmawiać z nim i przekazać informację matce.

Nie mogę zrozumieć, jak mogło się stać, by nikt, absolutnie nikt nie był w stanie przyjść z pomocą człowiekowi na lotnisku, które przyjmuje 17 milionów pasażerów rocznie. I że mimo supertechnologii, świetnie przygotowanego personelu, ochroniarzy, urzędników imigracyjnych i celników, nikt nie zwrócił uwagi na człowieka, który przez 10 godzin błąkał się po hali przylotów... - kręci z niedowierzaniem głową prawnik matki Roberta, Walter Kosteckij.

Około 22.00 Zofia dowiedziała się, że Roberta nie ma na lotnisku. Przestraszona wyruszyła z powrotem do Kamloops, dokąd dotarła po niecałych trzech godzinach. W domu zastała wiadomość na automatycznej sekretarce, że syn się odnalazł. Oddzwoniła na lotnisko, prosząc urzędnika, by zaopiekował się synem, który nie zna angielskiego, a ona przyjedzie po niego tak szybko, jak tylko możliwe... Nie wiedziała, że właśnie wtedy serce Roberta otrzymało uderzenie o sile 50.000 wolt i powoli przestawało bić...

- Przeraza mnie myśl, że od wejścia policji do hali odlotów do użycia paralizatorów upłynęły zaledwie 24 sekundy. Tyle czasu potrzebowała policja, by użyć siły w stosunku do człowieka, który nie stanowił żadnego zagrożenia. Te 24 sekundy, oddzielające życie od śmierci... - dodaje Walter Koseckij. Nie wiadomo, dlaczego pracownicy portu lotniczego nie zastosowali "code 3" - alarmu, na który reagują ratownicy medyczni zatrudnieni na lotnisku. Dlaczego do Roberta wezwano karetkę z miasta, która przyjechała dopiero po 12 minutach? Przytoczone powyżej liczby obrazują dramat ludzki i przerażają swoją wymownością, stając się swoistą arytymetyką śmierci.

### Szokujący dowód

Sensacyjny zwrot w tej tragicznej sprawie nastąpił kilka dni temu. Do jednej z rozgłośni radiowych w Vancouver zgłosił się mężczyzna, który sfilmował całe zajście kamerą cyfrową. Paul Pritchard wracał z Chin i widział Roberta w hali przylotów. Kiedy zorientował się, że jest świadkiem niecodziennych zdarzeń, włączył kamerę. Jakość nagrania okazała się doskonała.

Na filmie wyraźnie widać całą akcję policji i moment śmierci Roberta. Jednak Pritchard nie jest w stanie upublicznić filmu - policja zabrała mu kartę pamięci z całym nagraniem. Funkcjonariusz, który z nim rozmawiał wyjaśnił, że "ze względów technicznych" kopię filmu można zrobić tylko w biurze RCMP. Została spisana umowa między nim a policją mówiącą o terminie zwrotu kamery - miała wrócić do właściciela w ciągu 48 godzin.

Kamera została zwrócona, ale bez karty pamięci. Ktoś włożył do niej nową, czystą. Najpierw policja utrzymywała, że właścicielowi zwrócono kompletny sprzęt, potem odmówiono zwrotu nagrania, zasłaniając się dobrem śledztwa. Pritchard usłyszał, że kartę pamięci z filmem będzie mógł odebrać dopiero za... kilkadziesiąt miesięcy. Mężczyzna wynajął prawnika i pozwał RCMP.

- Nie jestem teraz w stanie odtworzyć w pamięci całego zajścia, bo zwracałem uwagę głównie na to, czy kamera filmuje prawidłowo. Ale wiem jedno - żaden z policjantów nie próbował rozmawiać z tym człowiekiem ani go uspokoić. Doskoczyli do niego i powalili na ziemię. Żaden z nich nawet nie próbował poszukać tłumacza. I na pewno w zachowaniu ofiary nie było żadnej agresji - utrzymuje Kandyjczyk. Kiedy Pritchard obejrzał w lokalnej telewizji reportaż o dramacie na lotnisku, zdał sobie sprawę, jakiej wartości jest jego dowód i że może stać się świadkiem w sprawie kryminalnej. Mężczyzna wynajął prawnika, który już złożył w Sądzie Najwyższym Kolumbii Brytyjskiej wniosek o nakaz natychmiastowego wydania taśmy przez RCMP.

- Widziałem tę płaczącą kobietę, czytałem nieprawdziwe informacje publikowane w prasie. Chcę upublicznić nagranie w mediach, żeby skończyły się spekulacje na temat rzekomej agresji ofiary i ilości oddanych do niego strzałów. Nieprawdą jest, że chcę sprzedać film mediom.

- Na początku nie wiedziałem, o co chodzi w tej całej sprawie, teraz jest dla mnie jasne, że ktoś chce ukryć prawdę. Film ją pokaże - oświadczył Pritchard na antenie radiowej. Wynajęty do tej sprawy prawnik, Paul Pearson uważa, że jego klient ma pełne prawa do swojej własności.

- Ironią losu w tej całej historii jest to, że tego dnia wróciłem z Chin, gdzie pracowałem jako nauczyciel. Mówiłem swoim studentom, jak wspaniałym krajem, wolnym i szanującym prawa człowieka jest Kanada. Zbyt szybko i zbyt boleśnie przekonałem się, jak bardzo przesadzałem z tym kanadyjskim szacunkiem dla człowieka - gorzko reasumuje Pritchard.

### Polonia się jednoczy

Sprawa tragicznej śmierci Roberta Dziekańskiego zatacza coraz szersze kręgi. Konsul generalny RP w Vancouver Maciej Krych oświadczył, że w tej sprawie otrzymuje wiele listów z poparciem, zarówno z Kanady, jak i z Polski.

- Za pośrednictwem torontońskich mediów chcę wyrazić wdzięczność dla całej Polonii, nie tylko w Kanadzie, ale w Stanach i z całej Europy. Dostajemy telefony, listy, e-maile, bardzo wielu Polaków jest przejętych tą dramatyczną sytuacją.

Te wyrazy solidarności Polaków z całego świata są niezwykle cenne - mówi konsul generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Vancouver, Maciej Krych.

- W zeszły czwartek w siedzibie Kongresu Polonii Kanadyjskiej w Vancouver odbyła się konferencja prasowa, która była nie tylko szansą na konfrontację przedstawicieli Polonii z dziennikarzami, ale też uczciliśmy na tym spotkaniu pamięć naszego rodaka. W konferencji uczestniczyli też prezes KPK w Vancouver Ludwik Tokarczuk z małżonką Danutą. Swoje stanowisko w tej tragicznej sprawie przedstawił adwokat Zofii Cisowski, Walter Kosteckij. "Naszym zadaniem było przede wszystkim wyrażenie ubolewania matce ofiary, która była obecna na spotkaniu, przedstawienie stanowiska władz polskich oraz powołanie fundacji w celu zbierania funduszy na pomoc Zofii Cisowski. Ta kobieta nadal jest w stanie szoku, nie może podjąć pracy, jest zupełnie zdruzgotana. Oświadczam, że każdy dolar przekazany na tę fundację będzie służył dobremu celowi. Proszę sobie wyobrazić, że ta kobieta zapożyczyła się, by sprowadzić syna do Kamloops. Robert miał jej pomagać w

pracy" - dodaje konsul Maciej Krych. Konsul zapewnił zgromadzonych, że Rzeczpospolita Polska dba o swoich obywateli i będzie skutecznie domagać się pełnego, rzetelnego i jak najszybszego wyjaśnienia wszystkich okoliczności tragedii. Ambasada RP wystosowała notę dyplomatyczną do władz kanadyjskich, a Konsulat Generalny jest w stałym kontakcie z biurem koronera i wydziałem policji, prowadzącym postępowanie wyjaśniające w tej sprawie. Kongres Polonii Kanadyjskiej zaoferował matce ofiary, Zofii Cisowski, pomoc w postaci otwarcia kont charytatywnych, na które zbierane są fundusze na obsługę prawną, pogrzeb syna i wszelkie koszty ponoszone przez kobietę, której stan zdrowia nie pozwala wrócić do pracy.

Państwo Tokarczukowie z vancouverkiego oddziału KPK zadziałali naprawdę błyskawicznie - w krótkim czasie powołana została fundacja pod nazwą Zofia Victim's Trust, na którą można dokonywać wpłat na rzecz matki ofiary. Jednak Polonia torontońska napotykała na problemy związane z przelewami pieniężnymi na konto banku w Kamloops. Nasi rodacy żalili się na utrudnione procedury bankowe. Na tę sytuację błyskawicznie zareagował Kongres Polonii Kanadyjskiej w Toronto. Udostępnił konto swojej Fundacji Charytatywnej. Można na nie wpłacać pieniądze, które zostaną przeznaczone na pomoc dla Zofii Cisowski. Przy wpłacie należy zaznaczyć, że to datek dla tej właśnie osoby.

- Nie odwrócimy tego co się stało. Ale chcemy podjąć działania zmierzające do tego, by policja przestała używać paralizatorów. Trzeba ostatecznie zbadać, w jakich przypadkach ich stosowanie jest niebezpieczne. Paralizatory powinny tak funkcjonować, by nie powodowały zgonów. Musimy sprawić, by nie zaistniała więcej nawet możliwość takiej tragedii jak w Vancouver, gdzie człowiek niedoinformowany, zagubiony popadł w tarapaty, które zakończyły się interwencją policji i w efekcie zgonem.

Do Kanady przyjeżdżają nasi krewni i znajomi, niektórzy z nich nie znają języka angielskiego. Muszą mieć możliwość porozumienia się z pracownikami lotniska czy ochrony - mówi Władysław Lizoń, prezes KPK.

#### Długie pożegnanie

W środę odbył się pogrzeb Roberta. Skromna uroczystość, w której udział wzięli jedynie matka, dwóch przyjaciół i ksiądz, odbyła się w domu pogrzebowym w Kamloops. To był dramat - mówi Jerzy Bałtakis, przyjaciel rodziny, który pomaga Zofii ogarnąć wszystkie sprawy związane z pogrzebem.

"Zosia nie chciała odejść od trumny, rozpacziała strasznie, ja nie byłem potem w stanie zasnąć w nocy. Jedno jest pocieszające - że ta śmierć prawdopodobnie nie poszła na marne, już zaczyna się mówić o wycofaniu paralizatorów z użytku. Jeśli jeszcze zmieni się prawo i uproszczą procedury imigracyjne, ludzie nie będą traktowani tak jak do tej pory." Jerzy robił zdjęcia na wczorajszej uroczystości.

Dzięki jego uprzejmości i za zgodą Zofii Cisowski udostępnił "Gazecie" tę smutną pamiątkę.

- Lekarz mówił, że dziś będzie lepiej, ale jest coraz gorzej, z każdą godziną - mówi Zofia, nie przestając szlochać. Zawsze byłam przeciwna kremacji, ale gdybym miała odłożone jakiegokolwiek pieniądze, stać byłoby mnie na transport zwłok do Polski i tradycyjny pogrzeb... Mój synek nie powinien być spalony. Był taki piękny, chciałam, żeby to ciało jak najdłużej było na ziemi. To była po prostu moja wielka miłość i umarła... Kobieta prosi o przekazanie Polonii torontońskiej "Bóg zapłać" za serce, za pomoc, za modlitwę i zaczyna szlochać. Płacemy obie, więc żegnam się i życzę jej siły.

#### W oparach absurdu

Wtorkowa wizja lokalna na lotnisku udowodniła absurdalne zachowanie służb, których zadaniem jest przede wszystkim działanie racjonalne i ochrona dóbr obywatela. Ani urzędnicy imigracyjni, ani służby porządkowe nie wysiliły się, by znaleźć tłumacza znającego jakikolwiek język słowiański, który mógłby ustalić, jakim konkretnie językiem posługiwał się Robert. Dziennikarzom udzielano informacji, że mężczyzna "krzyczał niezrozumiale w obcym języku". Dla kogo obcym? Skoro w Kanadzie mieszkają emigranci ze 187 krajów świata (!), to fakt posługiwania się językiem innym niż angielski i francuski nie powinien budzić zaskoczenia. Na międzynarodowym lotnisku jednego z największych miast, w jednym z największych krajów świata - jednak wzbudził. Skoro Robert rzekomo mówił niezrozumiale, to skąd wniosek Pierra Lemaitre, że krzyczał po hiszpańsku? Biurokracja i zaniechanie służb na lotnisku oraz nadgorliwość policji sumują się na jedno słowo - niekompetencja. I to niestety - tych służb, które rzekomo "chronią i bronią". Tylko kogo?

Z kpina i trwogą opisuje działanie policji Colas Bregnon na witrynie stowarzyszenia Vox Populi: "...Zachowanie Roberta Dziekańskiego wydawało się, jak stwierdził sierżant Lemaitre niezrozumiale, dodając inteligentnie, że ofiara wołała głośno po hiszpańsku "policia, policia" co wydało się trzem zawołanym na pomoc "Mounties" na tyle niebezpieczne, że zdecydowali się użyć "elektroszokera". I faktycznie, nikt widzący policję nie ryczy głośno "policja", ze szczęścia nawet. Chyba że ich nie rozpozna i wzywa pomocy. Na to jednak trzech "królewskich konnych" nie wpadło. Po zaaplikowaniu 50.000 wolt ofiara upadła na ziemię. Nie straciła jednak przytomności, lecz konwulsyjnie kopiąc nogami, usiłowała wydrzeć się z rąk przytrzymujących ją trzech policjantów, którzy jako trenowani fachowcy, w końcu zdołali założyć jej kajdanki i wezwać pomoc medyczną.

Sierżant Lemaitre stwierdził również, że ofiara zrana była potem, a z jej zachowania można było wywnioskować, że znajdowała się pod wpływem narkotyków lub miała jakiś poważny problem zdrowotny. Na to też "królewscy konni" nie wpadli, że jak ktoś ma problemy ze zdrowiem, to być może elektryczny szok może wydawać się niewskazany..." Brzmi ten cytat jak opis sceny z czarnej komedii klasy B. Niestety, to wydarzyło się naprawdę i pociągnęło za sobą śmierć jednej osoby i rozpacz innej. W imieniu Zofii proszę Państwa o modlitwę za Roberta.



...

Kolejne fakty w tej sprawie ujawnimy w reportażu, który ukaże się w następnym weekendowym wydaniu "Gazety".

Wpłaty na rzecz Zofii Cisowski przyjmuje Fundacja Charytatywna Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Czeki można wysłać na adres:

Fundacja Charytatywna KPK  
288 Roncesvalles Ave.,  
Toronto, ON M6R 2M4

Wpłaty można odliczyć od podatku.

**Gazeta**  
  
**Wolni i solidarni**

**Dziennik Polonii w Kanadzie**

[www.gazetagazeta.com](http://www.gazetagazeta.com)

**ARCHIWUM SPRAW NAJCIEKAWSZYCH**

**Zabili mi dziecko!**

Agnieszka Krupak

Oct 26, 2007

**Dramatyczna relacja z wydarzeń na lotnisku w Vancouverze**

---



Robert tuż przed śmiercią

Przewrócili go na plecy. Mąż chciał, żebyśmy jechali do domu, ale powiedziałam mu: tu się coś dzieje, musimy zostać. Popatrzyłam na leżącego mężczyznę. Już się nie ruszał. Jakaś kobieta - ratownik medyczny albo policjantka, robiła mu masaż serca. Leżący na ziemi mężczyzna zrobił się siny. Zdałam sobie sprawę, że nie żyje. I wtedy się popłakałam.

...

Kiedy trzy tygodnie temu opuszczałam Vancouver, zrobiłam na lotnisku zdjęcia wielkich, kolorowych, indiańskich masek, które przyciągają wzrok wchodzących do hali odlotów. Monstrualne twarze przypominają podróżnym o historii, kulturze i potędze państwa kandyjskiego.

Dziś pomyślałam, że Robert tych masek już nie zobaczył. Nie dane mu było wyjść z bagażem i tak, jak innym podróżnym, uściskać swoich ukochanych. Robert Dziekański, budowlaniec z Gliwic, w sobotnią noc zmarł na lotnisku „wrót raj” - jak nazywają Vancouver turyści. Ale jego matka zamierza dowieść, że syn został brutalnie zabity przez policję.

Prasa kanadyjska: 40-letni mężczyzna zmarł w sobotnią noc podczas interwencji policji na lotnisku w Vancouver. Policja została wezwana przez pracowników ochrony, którzy zauważyli mężczyznę, zachowującego się agresywnie. Człowiek ten miał rzucać krzesłami i strącić z biurka pracownika lotniska komputer. Został obezwładniony paralizatorem w sekcji przylotów przez wezwaną na miejsce zdarzenia policję. Zdaniem interweniujących policjantów i świadków zdarzenia, mężczyzna może pochodzić ze wschodniej Europy, na co wskazuje używany przez

niego język. Istnieje też hipoteza, że ofiara jest Hiszpanem - zdaniem prowadzących śledztwo, człowiek ten wykrzykiwał słowo „policia” - co po hiszpańsku oznacza „policja”. Ustalana jest tożsamość zmarłego.

Sima Ashrafinia, naoczny świadek tragedii: Przyjechałam na lotnisko 40 minut po północy. W hali przylotów międzynarodowych było spokojnie, siedziało tam tylko kilka osób. Sprawdziłam na monitorze, czy samolot mojego męża wylądował o czasie. Wtedy zauważyłam mężczyznę, który stał przed wejściem dla pasażerów. Nie mógł przejść przez drzwi, bo to przejście funkcjonuje tylko w jedną stronę. Był bardzo wzburzony i coś krzyczał - po rosyjsku, albo polsku, w każdym razie w jakimś wschodnioeuropejskim języku. Ktoś z obsługi lotniska prosił go, żeby przestał blokować drzwi, ale tamten najwyraźniej go nie rozumiał. Podeszłam do niego i próbowałam zagadnąć w kilku językach, po włosku, turecku, w farsy i w języku migowym. Ale mnie nie rozumiał.

Maciej Krych, Konsul Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Vancouver: W niedzielę, 13 października, otrzymaliśmy informację o tragicznym zgonie obywatela polskiego. Według informacji, jakie nam przekazała policja i matka tragicznie zmarłego, pan Dziekański został zaproszony przez matkę i otrzymał stały pobyt w Kanadzie. Po przylocie do Vancouver, już po przejściu całej procedury imigracyjnej, błąkał się po lotnisku, a według policji zaczął nagle zachowywać się w sposób agresywny. Policja podczas interwencji użyła wobec niego elektrycznych paralizatorów. Krótki czas potem, przybyła pomoc medyczna, lekarz stwierdził zgon.

To jest wszystko, co w tej chwili wiemy. Wczoraj (środa, 17 października, przyp.red.) została przeprowadzona w szpitalu generalnym w Vancouver autopsja, natomiast szersze wyniki autopsji będą dostępne dopiero po kilku miesiącach. Ustaloną w tej chwili przyczyną śmierci było zatrzymanie akcji serca. To jest wszystko, co w tej chwili wiemy. Na tym etapie śledztwa nie mogę niczego wyrokować. Natomiast moim głównym zadaniem w tej chwili jest chronić matkę ofiary przed mediami. Najmocniej przepraszam, ale to jest dla mnie w tej chwili najważniejsze. Ta kobieta jest w strasznym szoku, pozostaje wciąż pod wpływem środków uspokajających, jest pod stałą opieką lekarską. Udzielamy jej też pomocy prawnej.

Sławomir Szel, Urząd Miasta Pieszycy: O tej tragedii wiem ze stron internetowych. Widząc nazwę naszego miasta w polskich newsach, już wcześniej próbowałem ustalić nazwisko ofiary. Podawali tylko, że zginął Robert D. z Pieszyc. Pani jest pierwszą osobą, która mi je podaje. Proszę zadzwonić za kwadrans, spróbuję się czegoś dowiedzieć. I oczywiście deklarujemy naszą pomoc dla tej rodziny, gdyby zaistniała taka konieczność.

Zofia Cisowski, matka: Nie, proszę się nie rozłączać, mogę rozmawiać. Ja, wie pani, w ogóle nie sypiam...boję się, że moje serce też tego nie przetrzyma...(płacz). Proszę poczekać, muszę wziąć lekarstwo...już jestem. Od niedzieli biorę leki uspokajające, ale niewiele pomagają. Nie wiem, jak ja to przetrzymam. Tylko jego jedyne miałam na świecie (płacz). Od siedmiu lat robiłam wszystko, by sprowadzić go do siebie. Tu, synku, jest praca, mówiłam. Tu zarobisz, już nie będziesz się musiał pętać od budowy do budowy, tak, jak w Gliwicach. Bo on był wspaniałym budowlańcem, ale w Gliwicach krucho z pracą. Szkołę budowlaną skończył, kochał to, co robił. W Pieszycach? Nie, z Pieszyc wyprowadziliśmy się dawno temu. Ciężko nam było po śmierci mojego męża. I jeden mój znajomy, który miał brata w Kanadzie powiedział: jedź, on cię zaprasza. Pomieszkasz trochę, sama zdecydujesz, czy zostaniesz, czy wrócisz. A jak zobaczysz, jaki to wspaniały człowiek, to weźmiecie ślub, sprowadzisz Roberta, będzie wam dobrze. I wyjechałam. Mój mąż jest już starszym człowiekiem, ma 83 lata. Ale to wyjątkowy człowiek jest, dobry. Teraz jest moim jedynym oparciem. Bo mojego synka cudownego już nie ma... (płacz). Niech Pani zadzwoni za parę minut, przepraszam...

Prasa polonijna: Polski pasażer zmarł w ostatni weekend na lotnisku w Vancouver po tym, jak został obezwładniony elektrycznym paralizatorem. 40-letni Robert Dziekański z Pieszyc w województwie dolnośląskim, który wylądował w Vancouver w sobotę po południu, zamierzał wyemigrować do Kanady, gdzie mieszka część jego rodziny. Został obezwładniony paralizatorem, gdyż policja uznała, że jest zbyt pobudzony. Polak zmarł po założeniu mu kajdanek.

Zofia Cisowska, matka: Żeby mój syn mógł dostać pobyt, musiałam zostać jego sponsorem. Przepisy mówią, że taki sponsor musi zarabiać rocznie minimum \$30.000. Brałam różne zlecenia na sprzątanie, pracowałam w trzech miejscach, od



świtu do nocy i dopiero po sześciu latach udało mi się wypracować taki income. Składałam już dokumenty, syneczku - powiedziałam mu rok temu. Zrobiłam wszystko tak, jak mi kazali, a Immigration wysłało moje dokumenty do konsulatu w Polsce. Boże, jak on na to czekał, żeby wyjechać do Kanady...(płacz).Dostał wizę bez żadnych przeszkód. Jak on się cieszył! Nie, nie miał żony, ale miał narzeczoną. Mówił: ustawię się trochę, zarobię, to ją sprowadzę. Chyba ukrywał to przede mną, ale tak nieraz z rozmów wyczułam, że oni chyba razem mieszkali. Ona teraz jest w strasznym szoku, niech pani tam lepiej nie dzwoni.

Sima Ashrafinia, naoczny świadek tragedii: Ten mężczyzna (Robert, przyp.red.) wyglądał, jakby się źle czuł. Krzyczał coś w rodzaju "please", "pleasa", albo "poleasa" i walił dłońmi w szklane drzwi. Poprosiłam kierowcę limuzyny, który stał obok, żeby zawołał kogoś z ochrony - bo w pobliżu nie było żadnego ochroniarza. Kierowca był wściekły i przeklinał. Czekał na jakiś pasażerów, a przecież tamten blokował przejście. Próbował mu wytłumaczyć, że bez specjalnej karty magnetycznej nie da się otworzyć drzwi. Wyciągnął swoją kartę i przeciągnął przez czytnik. Drzwi się otworzyły, a krzyczący mężczyzna przeszedł na drugą stronę. Przytrzymał nogą drzwi i przeciągnął swój bagaż, większą i mniejszą torbę. Pomyślałam, że może przyleciał na niewłaściwe lotnisko i teraz próbuje wrócić. Ciągle uderzał ręką w szklane drzwi. Podniósł krzesło i postawił je z powrotem. Z biurka pracowników obsługi podnosił i odstawiał jakieś przedmioty. Pocił się, był czerwony na twarzy. Chodził tam i z powrotem, tak jakby się zgubił. Próbowałam go uspokoić. Wykonywałam przyjazne gesty i mówiłam "nie, nie, nie". Spojrzał na mnie i odstawił na biurko klawiaturę komputera. Stałam blisko niego i nie odniosłam wrażenia, że mógłby mi zrobić krzywdę.

Zofia Cisowska, matka: To była droga przez mękę, prawie dobę Robert był w podróży. Najpierw w nocy sąsiad go wiozł z Gliwic do Katowic, a z Katowic miał samolot do Frankfurtu. Boże, jak on się bał tych samolotów....(płacz). Ja mu mówiłam: syneczku, ja mam tyle lat i zwalczyłam strach, to i ty dolecisz. Bo ja przecież przyleciałam do Kanady jak byłam już po pięćdziesiątce. Też się boję latania, on ma...miał to po mnie (płacz). No i Robert wylądował we Frankfurcie o ósmej rano. Miał ponad cztery godziny czekania na samolot do Vancouver.

Mówiłam mu: patrz na bilety, wszystko ci pozaznaczałam, a jakbyś czegoś nie wiedział, szukaj Polaków. Polacy ci zawsze pomogą...

W Vancouver miał wylądować wczesnym popołudniem, ale samolot się spóźnił. A ja wyjechałam z Kamloops wcześniej rano i czekałam na lotnisku, ale z drugiej strony. Już się nie mogłam doczekać, kiedy go zobaczę. Pani wie, ja go jednego mam...miałam...(płacz). On był tam, gdzie wydają bagaże, powiedzieli mi ludzie, którzy widzieli na własne oczy, co się stało na lotnisku...A mnie tam nie chcieli wpuścić. Błagałam tych ochroniarzy z security, żeby mnie wpuścili, bo on jest sam, nie zna lotniska, nie zna angielskiego, a ja jestem matką, znajdę go i pojedziemy do domu... Ale oni byli nieubłagani. Nikt nie chciał mnie wysłuchać. Mijały godziny, w końcu jedna pani oficer zgodziła się wywołać go przez głośniki. Ale to było zupełnie bez sensu, bo w hali przylotów tych głośników nie słychać, a poza tym tak przekręciła jego nazwisko, nawet ja ledwo je poznałam... Jak teraz pomyślę, że on tam chodził z kąta w kąt i prosił ludzi o pomoc, i nikt, absolutnie nikt mu nie pomógł, to nie mam już siły, żeby żyć... (płacz).

Prasa polska: "W Kanadzie kolejna ofiara śmiertelna paralizatora" (PAP)

Już druga osoba zmarła w Kanadzie w tym tygodniu po obezwładnieniu elektrycznym paralizatorem - podał w czwartek rzecznik kanadyjskiej policji. Ostatniej nocy zmarł 39-letni mężczyzna obezwładniony taserem w niedzielę w Montrealu. Według kanadyjskich mediów, Quilem Registre był w stanie upojenia alkoholowego, zachowywał się agresywnie, uszkodził swoim samochodem kilka innych pojazdów. Po interwencji policji, trafił do szpitala; jego stan pogorszył się na początku tygodnia. Według telewizji CTV, zmarł na atak serca. W niedzielę - także po obezwładnieniu paralizatorem - zmarł 40-letni Polak Robert D. Kanadyjska policja wyjaśniała, że funkcjonariusze zastosowali taser, ponieważ mężczyzna był bardzo pobudzony w hali przylotów lotniska w Vancouverze rzucał krzesłami, cisnął na ziemię komputer i krzyczał w obcym języku. Jego 61-letnia matka w rozmowie z lokalnymi mediami powiedziała, że syn mógł być niespokojny, ponieważ po raz pierwszy w życiu leciał samolotem, i sfrustrowany, gdyż nie był w stanie się porozumieć, bo mówił tylko po polsku. Mężczyzna miał dołączyć w Kanadzie do swojej rodziny. W następstwie obu tych wydarzeń Amnesty International w Kanadzie

ponowila apel o wprowadzenie moratorium na stosowanie taserów. Według telewizji CTV, od 2003 roku w Kanadzie aż 17 osób zmarło w następstwie incydentów z użyciem paralizatora.

Sima Ashrafinia, naoczny świadek tragedii: Była już 1.30 nad ranem, kiedy pojawiło się pięciu funkcjonariuszy RCMP. Podeszli do mężczyzny. Jeden z nich powiedział do innego, żeby wyjął paralizator. Zanim przeszli przez szklane drzwi, ten pan (Robert, przyp.red.) złapał drewniane krzesło i uderzył nim w drzwi. Policjanci otoczyli go półokręgiem. Coś do niego mówili, ale on nie rozumiał po angielsku. Mężczyzna wszedł za biurko, i wtedy policja użyła paralizatora. Usłyszałam jego krzyk. Nie wiem, w którą część ciała został trafiony, ale krzyczał z bólu, więc na pewno porazili go prądem. Przeszedł (Robert, przyp.red) na koniec długiego biurka, a wtedy policjanci użyli paralizatora drugi raz. Zaraz potem policjant z jego prawej strony i drugi z lewej porazili go jednocześnie - trzeci i czwarty raz. Mężczyzna upadł na prawy bok. Czterech albo pięciu funkcjonariuszy nachyliło się nad nim i skuło go. Przewrócili go na plecy. Wtedy na hali pojawił się mój mąż i zawołał mnie. Nie spodziewałam się go tam, sądziłam, że nadejdzie z innej strony. Najwyraźniej obsługa lotniska przepuściła pasażerów innym wejściem. Mąż chciał, żebyśmy jechali do domu, ale powiedziałam mu: tu się coś dzieje, musimy zostać. Popatrzyłam na leżącego mężczyznę. Już się nie ruszał. Jakaś kobieta - ratownik medyczny albo policjantka, robiła mu masaż serca. Leżący na ziemi mężczyzna zrobił się siny. Zdałam sobie sprawę, że nie żyje. I wtedy się popłakałam.

Zofia Cisowski, matka: Robert? Jakies leki czy narkotyki? Proszę pani, mój syn to wróg narkotyków. Nigdy niczego nie brał, nigdy się na nic nie leczył. Wielki był, zdrowy, silny, cudowny chłopak. Ja tak sobie myślę, że nie trzeba było niczego brać, żeby doznać szoku na tym lotnisku... Doba w podróży, a on tak się bał samolotu. A potem, ja nie wiem dlaczego, trzymali go tam tyle godzin, nie miał dolarów, wiem, że nie miał też niczego do picia i strasznie chciało mu się pić. Zaczepiał ludzi, prosił o pomoc. Ja mam zdjęcia, ludzie robili mu te zdjęcia, ale ja się boję je obejrzeć... Ja byłam tak blisko niego przez cały dzień, to tylko parę kroków do hali przylotów. Policja mówi, że zachowywał się agresywnie, ale ja go nigdy nie widziałam, żeby był agresywny albo żeby się złościł. Zawsze taki spokojny... Teraz myślę, że ten szok to był samolot i papierosy. Tak, bo on, proszę pani, palił. A jak ktoś długo pali, a potem

nagle rzuci, to różnie może być... Zawsze wiedział, że ja tak bardzo chciałam, żeby przestał palić. Kupił sobie na wyjazd 3 paczki papierosów. I zadzwonił do mnie z lotniska w Katowicach i powiedział: mamuś, ja oddałem te papierosy jakiejś kobiecie. Dla ciebie nie będę już nigdy palił. Od dziś zacznę nowe życie.

Prasa kanadyjska: Sekcja zwłok Roberta Dziekańskiego nie pozwoliła na określenie przyczyny zgonu. Biuro koronera czeka na wyniki badania toksykologicznego.

Policja nie potwierdza, że śmierć miała związek z użyciem paralizatora. RCMP twierdzi, że mężczyzna zachwywał się agresywnie, krzyczał i uderzał w okna. Mężczyznę próbowała uspokoić kobieta, która była świadkiem całego zdarzenia. Zdaniem Simy Ashrafina, Polak nie stwarzał niebezpieczeństwa dla otoczenia. Kobieta zarejestrowała całe zdarzenia na swoim telefonie komórkowym.

Według mnie, wbrew temu, co twierdzi policja, Polaka otoczyło nie trzech, a pięciu policjantów. Zdaniem kobiety, funkcjonariusze użyli paralizatora nie dwukrotnie, a czterokrotnie. Policja zaprzecza tym informacjom.

Zofia Cisowski, matka: Była już noc, Robert miał wciąż wyłączone komórki. Czułam, że coś się złego stało, pani wie, matka zawsze czuje. Wróciliśmy do Kamloops, ja i ten kierowca, którego wynajęłam, bo mój mąż nie prowadzi, to starszy człowiek... A jak dojechałam do domu, po trzech godzinach, to na maszynie zastałam wiadomość od szefowej security na lotnisku, że sprawdziła, i że syn jest już po odprawie. Ale była druga w nocy i już nie miałam czym wracać do miasta. Nie spałam całą noc, a o 6 rano miałam autobus do Vancouveru.

Przyjechałam na lotnisko, i nawet zauważyłam, że tam jest pełno policji i dziennikarze, ale wie pani, chciałam jak najszybciej zobaczyć synka mojego. A ta ich szefowa zaprowadziła mnie do jakiegoś pokoju i kazała usiąść, a potem mówi: z pani synem stało się coś złego.

Ja pomyślałam, że Immigration nie wpuściło go do Kanady, że może coś się w dokumentach nie zgadzało... A ona dodała: pani syn nie żyje. A ja... upadłam na podłogę, i potem już nie pamiętałam... Wiem, że wyprowadzili mnie bocznym

wyściem, bo przed głównym czekali dziennikarze z kamerami. Wozili mnie gdzieś dookoła, nie wiem... Nie, do szpitala nie dotarliśmy. Nie widziałam jeszcze mojego synka (płacz). Mnie się już żyć nie chce...!

Sima Ashrafinia, naoczny świadek tragedii: Któraś z pracownic linii lotniczej poradziła mi, żebym powiedziała policji, że byłam świadkiem całego zdarzenia. Podeszłam do funkcjonariusza, który rozmawiał z kierowcą limuzyny. Powiedziałam, że widziałam prawie wszystko, co się tu wydarzyło. Odpowiedział, że za chwilę ze mną porozmawia. Czekałam, ale nikt do mnie nie podszedł. Podeszłam więc jeszcze raz do policjanta i powiedziałam, że jadę do domu. Machnął mi tylko ręką. Albo nie miał czasu, albo z innego powodu nie przesłuchał mnie tego wieczoru.



Sima Ashrafinia, naoczny świadek

Zofia Cisowski, matka: Wczoraj zadzwonił do mnie coroner, że są wyniki sekcji zwłok mojego synka. Powiedział, że syn był zdrowy i że zmarł z powodu zatrzymania akcji serca. A ja się pytam - skoro dostał aż cztery shoty tym paralizatorem, to jak serce miało się nie zatrzymać?! Jak można było zabić człowieka?! Nie zostawię tego, będę walczyć, dopóki dam radę. Mam prawnika, poprowadzi sprawę. Pieniądze? Będą potrzebne, nie wiem, ile dużo, nie wiem, skąd wezmę... Chcę wygrać, dla mojego synaczka kochanego, i dla innych ludzi, żeby ich nigdy taka śmierć nie spotkała. W Kanadzie w ciągu ostatnich paru lat kilkanaście osób zostało zabitych tymi paralizatorami... Jak można dopuścić, żeby policja używała czegoś takiego?! Mówią, że to...to (płacz) stało się nie od paralizatora. Ale ja zażądałam kolejnej autopsji, prywatnie. Sama za nią zapłacę. Muszą być na ciele jakies ślady, oparzenia, albo małe punkciki w tym miejscu, gdzie Robert dostał shoty. Przecież zabili mi dziecko!

Prasa kanadyjska: Robert Dziekański od momentu wyjazdu z Polski był w podróży około 24 godzin. Na lotnisku w Vancouverze przechodził długą procedurę imigracyjną. Jego matka, która miała go odebrać z lotniska, po długim oczekiwaniu powróciła sama do domu. W niedzielę rano policja poinformowała ją, że jej syn się odnalazł. Kobieta obwinia policję o śmierć syna i podjęła już w tej sprawie kroki prawne.

Zofia Cisowski, matka: Nie wiem, co się stało z bagażem syna. Tylko jedną torbę miał, z książkami i atlasami. Powiedziałam mu: synku, nie bierz ubrań, zarobisz sobie, to kupisz nowe. Ale on od dziecka, od małego, kochał geografię. Zbierał książki podróżnicze, mapy i atlasy. I wziął ze sobą tylko te książki, bo najbliższe były jego sercu (płacz). Wczoraj (środa, 17 października - przyp. red.) przwiechali do mnie ludzie - dali mi zdjęcia - jak policja waliła w

17 października, przyp.red.) przyjechali do mnie ludzie, dali mi zdjęcia, jak policja waliła w niego tym prądem... Jedna kobieta fimowała wszystko telefonem komórkowym, i zrobiła z tego nagrania dla mnie, płytę CD.



Wywiezienie  
zwłok z lotniska

I ta płyta wciąż tu leży, nie mam odwagi jej włączyć. Bo na tej płycie są ostatnie chwile życia mojego synka ukochanego i boję się, że jak to zobaczę, to i mnie serce pęknie. I kto wtedy o niego, o jego godność zawalczy?

Dział zagubionego bagażu, port lotniczy Vancouverze (przez cały dzień odzywa się automat): Witamy. Dodzwonili się państwo do działu zagubionego bagażu na lotnisku w Vancouverze. Nasze biuro jest czynne codziennie, od godziny 9.00 do 17.30, przez siedem dni w tygodniu. W przypadku bagażu pozostawionego na pokładzie samolotu proszę kontaktować się bezpośrednio z liniami lotniczymi. Prosimy o pozostawienie nazwiska, adresu i dokładnego opisu bagażu. Mogą państwo też skorzystać ze strony internetowej: [www.yvr.ca](http://www.yvr.ca).

Dziennikarz polonijny z Toronto, prosi o anonimowość: Ten człowiek przez siedem lat żył nadzieją na ten wyjazd. Potem spędził 24 godziny w podróży i prawie dziewięć trwała procedura imigracyjna na lotnisku. A potem przyszli i go zabili. I dlatego chce mi się wyć...

...

Zofia Cisowski, matka Roberta, podjęła kroki prawne, mające na celu wyjaśnienie przyczyny śmierci jej syna. Koszty procedury prawnej znacznie przekraczają jej możliwości finansowe. Dlatego zwracamy się do Polonii o pomoc. Datki prosimy kierować na konto: Zofia Cisowski, CIBC, # 45 06 44 52 25 87 82 20, przypominając ostatnie słowa, skierowane do syna: Polacy ci zawsze pomogą.

Kamloops - prawie stutysięczne miasto w południowo środkowej części Kolumbii Brytyjskiej, niecałe 3 godziny drogi od Vancouver. Położone w dolinie, otoczone przez góry, od lat jest jedną z największych turystycznych atrakcji regionu. To wymarzone miejsce na wędrowki po górach, łowienie ryb, kolarstwo górskie latem i snowboardy zimą. O tej porze roku szczyty Kordylierów odbijają się w tafli jeziora Kamloops czarnym cieniem. O własnym domu w Kamloops marzył Robert, kiedy planował swoje nowe życie w Kanadzie. I prawdopodobnie tu zostanie. Już na zawsze.

...

## OFIARY POLICYJNYCH PARALIZATORÓW

1. Terry Hanna, 51 - Burnaby, BC - 19 kwietnia, 2003 - RCMP
2. Clayton Willey, 33 - Prince George, BC - 22 lipca, 2003 - RCMP
3. Clark Whitehouse, 34 - Whitehorse, YK - wrzesień 2003 - RCMP
4. Ronald Perry, 28 - Edmonton, AB - 23 marca, 2004
5. Roman Andreichikov, 25 - Vancouver, BC - 1 maja, 2004

5. Roman Andreichikov, 25 - Vancouver, BC - 1 maja, 2004
6. Peter Lamonday, 33 - London, ON - 13 maja, 2004
7. Robert Bagnell, 44 - Vancouver, BC - 23 czerwca, 2004
8. Jerry Knight, 29 - Mississauga, ON - 17 lipca, 2004
9. Samuel Truscott, 43 - Kingston, ON - 8 sierpnia, 2004
10. Kevin Geldart, 34 - Moncton, NB - 5 maja, 2005 - RCMP
11. Gurmeet Sandhu, 41 - Surrey, BC - 30 czerwca, 2005 - RCMP
12. James Foldi, 39 - Beamsville, ON - 1 lipca, 2005
13. Paul Saulnier, 42 - Digby, NS - 15 lipca 2005 - RCMP
14. Alesandro Fiacco, 33 - Edmonton, AB - 24 grudnia, 2005
15. Jason Doan, 28 - Red Deer, AB - 30 sierpnia, 2006 - RCMP
16. Robert Dziekanski (Polish Citizen), 40 - Vancouver, BC - 14 października, 2007 - RCMP
17. Quilem Registre, 39 - Montreal, QC - 17 października, 2007

© Copyright 2003 by GAZETA Inc.

Opublikowane w Internecie za wiedzą i pozwoleniem wydawcy "Gazety"

[www.gazetagazeta.com](http://www.gazetagazeta.com)